

BOLESŁAW PRUS

CIENIE

Kiedy na niebie dogasają blaski słońca, z ziemi wynurza się zmierzch.

Zmierzch -

wielka armia nocy o tysiącach niewidzialnych kolumn i miliardach żołnierzy.

Potężna armia, która od niepamiętnych czasów pasuje się ze światłem, pierzcha każdego poranku, zwycięża każdego wieczora, panuje od zachodu do wschodu słońca,

a w dzień, rozbita, chowa się po kryjówkach i czeka.

Czeka w górskich przepaściach i miejskich piwnicach, w gąszczu lasu i w głębi ciemnych jezior. Czeka kryjąc się w przedwiecznych jaskiniach ziemi, w kopalniach, po rowach, w kątach domów, w załawkach murów. Rozproszona i na pozór

nieobecna wypełnia jednak wszystkie skrytki. Jest w każdej szczelinie kory drzew, w fałdach ludzkiego odzienia, leży pod najmniejszym ziarnem piasku, czepia się najcieńszej nici pajęczej i czeka. Wypłoszona z jednego miejsca, w okamgnieniu przenosi się na inne, korzystając z lada sposobności, aby powrócić tam, skąd ją wygnano, wdrzeć się na nie zajęte stanowiska i zalać ziemię.

Kiedy gaśnie słońce, armia zmroków gęstymi szeregami wysuwa się ze swych ucieczek, cicha i ostrożna. Zapelnia korytarze domów, sienie i źle oświetlone schody; spod szaf i stołów wypelzuje na środek pokoju i obsiada firanki; przez lufty piwnic i szyby okien wysuwa się na ulice, w głuchym milczeniu szturmując ściany i dachy i zaczajona na szczytach, cierpliwie czeka, aż na zachodzie zbledną różowe obłoki.

Jeszcze chwilka i nagle zerwie się olbrzymi wybuch ciemności sięgającej od ziemi

do nieba. Zwierzęta skryją się po legowiskach, człowiek ucieknie do domu; życie,

jak roślina bez wody, skurczy się i pocznie usychać. Barwy i kształty rozplyną się w nicestwie; trwoga, błąd i występki obejmą panowanie nad światem.

W takiej chwili na pustoszejących ulicach Warszawy ukazuje się dziwna postać ludzka, z drobnym płomykiem nad głową. Szybko biegnie przez chodnik, jakby ją

ścigały ciemności, przy każdej latarni zatrzymuje się na mgnienie i roznieciwszy

wesołe światło, znika jak cień.

I tak każdego dnia w roku. Czy na polach wiosna dyszy zapachem kwiatów, czy sroży się lipcowa burza, czy rozhukane na ulicach jesienne wichry miotają tumanami kurzu, czy w powietrzu kłębią się zimowe śniegi - on zawsze, skoro tylko nadejdzie wieczór, ze swym płomykiem przebiega miejskie chodniki,

roznieca

światło, a potem znika jak cień.

Skąd się ty bierzesz, człowieku, i gdzie kryjesz się, że nie znamy twoich rysów, ani słyszymy głosu? Czy masz ty żonę albo matkę, która czeka twego powrotu?

Albo

dzieci, które, pozostawiwszy w kącie twoją latarkę, wdzierają ci się na kolana i obejmują cię za szyję? Czy ty masz przyjaciół, którym opowiadasz swoje pociechy

i zgrzyoty, albo choć znajomych, z którymi mógłbyś porozmawiać bodaj o codziennych zdarzeniach?

Czy ty w ogóle posiadasz jaki dom, w którym by cię znaleźć można? imię, którym

można by cię zawołać? potrzeby i uczucia, które by cię robiły takim jak my człowiekiem? Czyli też jesteś naprawdę istotą bezkształtną, milczącą i nieujętą, co ukazuje się tylko o zmroku, roznieca światło, a potem znika jak cień?

Odpowiedziano mi, że jest to naprawdę człowiek, a nawet dano jego adres.

Poszedłem do wskazanego domu i zapytałem stróża:

- Czy u was mieszka ten, co zapala latarnie po ulicach?

- U nas.

- A gdzie?

- W tamtej komórce.

Komórka była zamknięta. Spojrzałem przez okno, ałem tylko zobaczył tapczan przy

ścianie, a obok niego na wysokim kiju latarkę. Latarnika nie było

- Powiedz mi przynajmniej, jak on wygląda?

- Kto go tam wie - odparł stróż wzruszając ramionami. - Sam go nawet dobrze nie

znam - dodał - bo po dniu nigdy w izbie nie siedzi.

W. pół roku przyszedłem drugi raz.

- A dziś nie ma w domu latarnika?

- Oho! - rzekł stróż - nie ma i nie będzie. Wczoraj go pochowali. Umarł. Stróż zamyślił się. Zapytawszy o kilka szczegółów pojechałem na cmentarz.

- Pokażcie mi, grabarzu, gdzie tu wczoraj pochowano latarnika?

- Latarnika?... - powtórzył. - Kto go tam wie! Trzydziestu pasażerów było wczoraj.

- Ależ on pochowany w oddziale najuboższych.

- Takich zważyło się dwudziestu pięciu.

- Ale on leżał w niemalowanej trumnie.

- Takich zwieźli szesnaście.

Tym sposobem nie poznałem ani twarzy, ani nazwiska, ani nawet nie widziałem jego

grobu. I został tym po śmierci, czym był za życia: istotą widzialną tylko o

zmroku, niemą i niepochwytą jak cień.

W pomroce życia, gdzie po omacku błądzi nieszczęsny rodzaj ludzki, gdzie
jedni

rozbijają się o zawady, inni spadają w otchłań, a pewnej drogi nikt nie zna,
gdzie na skrępowanego przesądami człowieka poluje zły przypadek, nędza i
nienawiść - po ciemnych manowcach życia również uwijają się latarnicy.

Każdy

niesie drobny płomyk nad głową, każdy na swojej ścieżce roznieca światło,
żyje

niepoznany, trzuci się nieoceniony, a potem znika jak cień...